

Stanley HAUERWAS

UNIWERSYTECKI HONOR*

Jeżeli sądzisz, że możesz oszukiwać, gdy jesteś jeszcze w szkole, ponieważ szkoła jest tylko okresem przygotowania do prawdziwego życia, nigdy nie będziesz do niego przygotowany, gdyż twoje życie nie będzie nigdy bardziej prawdziwe niż teraz.

Żyjemy w czasach, kiedy etyka stała się znowu modna: szkoły medyczne zatrudniają specjalistów od etyki lekarskiej, szkoły biznesu – specjalistów od etyki biznesu. W Kongresie Stanów Zjednoczonych jest komitet od spraw etycznych, a od szkół i uniwersytetów oczekuje się, by nauczały wartości. Mogłoby się wydawać, że jako teolog wyćwiczony w etyce, powinienem być zadowolony z takiego rozwoju. Ni stąd, ni zowąd ludziom wydaje się, że istnieją eksperci w etyce, potrafiący naprawić to wszystko, co zostało zepsute w życiu publicznym. Według mnie jednak, angażowanie etyków przez szkoły medyczne i szkoły biznesu, aby nauczali studentów wartości lub tego, co to znaczy być człowiekiem etycznym, jest tylko próbą leczenia jednej choroby inną.

Proszę mi pozwolić na rozwinięcie tej myśli. Wątpliwości moje budzi termin „wartość”. W kulturze amerykańskiej „wartości” oznaczają indywidualne preferencje w przeciwieństwie do „obiektywnych faktów”. Ale – jak przypomnieli nam Alasdair MacIntyre w swej książce *Whose Justice? Which Rationality?* – fakty, podobnie jak teleskopy i peruki dla dżentelmenów, są siedemnastowiecznymi wynalazkami i – wydaje mi się – że czas najwyższy je porzucić. Podobnie, jak nie wierzę w tak rozumiane fakty, tak też nie wierzę w ich przeciwieństwo – wartości. Również uniwersytety nie powinny się nimi zajmować.

To, co powiedziałem, stawia mnie w dość kłopotliwej sytuacji, ponieważ problem, który chcę podjąć, dotyczy tego, co znaczy dla uniwersytetu być chrześcijańskim. Gdybym zaczął uzalać się nad smutną kondycją współczesnego uniwersytetu, moje żale objęłyby większość uniwersytetów chrześcijańskich. Już wcześniej zaatakowałem rozpowszechniony pogląd, że szkoły wyższe i uniwersytety powinny spełniać sokratejską funkcję uzdalniania stu-

* Tytuł oryginału *Honor in the University*, „First Things. A Monthly Journal of Religion and Public Life” 1991, nr 10, s. 26-31. Artykuł ten jest rozwiniętą wersją referatu wygłoszonego na Georgetown University.

dentów do podejmowania własnych decyzji. Szermierzem tego poglądu, propagowanego w filmie *Stowarzyszenie umarłych poetów*, jest nauczyciel, który dąży przede wszystkim do tego, by pomóc uczniom wyrabiać sobie własne stanowisko. Jednak pojęcie kształcenia, które on reprezentuje, jest moim zdaniem całkowicie błędne, ponieważ większość uczniów nie ma umysłów, nad którymi warto pracować.

Zdaję sobie sprawę, że obraziłem w tej chwili studentów na całym świecie, chodziło mi jednak o to, by sprowokować ich własne widzenie siebie. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś bardziej amerykańskiego niż przekonanie o konieczności posiadania własnego zdania. Postawa taka raczej niweczy, niż wspiera edukację. Podcina ona formowanie ludzi prawych, zdolnych do stanięcia twarzą w twarz wobec prawdy. Kształtowanie własnego umysłu nie ma nic wspólnego z byciem wykształconym.

Większość moich kolegów profesorów traktuje dzisiaj program studiów tak, jak gdyby był on przeznaczony dla elitarnej grupy konsumentów – ich studentów. Studenci przychodzą na uniwersytet konsumować idee, nauczyciele natomiast przedstawiają na zajęciach różne możliwości wyboru. Zapytani o to, która według nich jest prawdziwa, odpowiadają, że to nie ich sprawa. Oni próbują jedynie pomóc w zrozumieniu różnych możliwości tak, by student mógł sam wybrać. Jeżeli nie zakwestionuje się założenia, że studenci są tylko konsumentami, których stać na dokonywanie własnych wyborów, to studenci w ten sposób kształceni nie będą zdolni do przeciwstawiania się kapitalistycznej manipulacji. Służy to interesom kapitalistycznym, kiedy studenci wierzą, że są wolnymi konsumentami, dokonującymi wyboru między radiem Sony czy Panasonic. Ani na myśl im nie przyjdzie, że wybór ten jest narzucony. Zostali nauczeni wybory takie nazywać „wolnością”.

Założenie, że powinniśmy ćwiczyć studentów w podejmowaniu własnych decyzji, jest głęboko zakorzenione we współczesnym rozumieniu moralności i w przekonaniu, że etyka jest domeną decyzji. Stąd większość kursów z etyki obraca się dziś wokół takich pytań, jak: „co zrobiłbyś w tych okolicznościach?” Przyjmuje się, że decyzji tych dokonuje najbardziej fikcyjny byt czasów nowożytnych: indywiduum. Taki punkt widzenia moralności sprzeciwia się w sposób zasadniczy pogładowi tych wszystkich, którzy (jak np. ja) wierzą, że życie moralne związane jest z kształtowaniem ludzi prawych przez społeczności uformowane tradycją. Być może właśnie uniwersytet chrześcijański jest – lub powinien być – taką społecznością.

Żeby wydobyć ten sens moralności, który odróżniałby uniwersytet chrześcijański od uniwersytetów świeckich, chciałbym zwrócić uwagę na jedną z istotnych praktyk, czyniących uniwersytet moralnie spójnym: chcę przedyskutować sprawę honoru i kodeksu honorowego i zastanowić się, dlaczego honor jest czymś integralnym dla uniwersytetu. Zamierzam sformułować sześć dyskusyjnych twierdzeń, co do których sam jestem przekonany, że są

prawdziwe. Wierzę również, że w takiej mierze, w jakiej uniwersytet wciela te prawdy w życie, można liczyć, że moralny dyskurs będzie tam możliwy – nawet jeżeli jest to uniwersytet, który uczy studentów zajmowania własnego stanowiska.

Oto moje twierdzenia:

1. Oszukiwanie jest poważniejszym przestępstwem niż morderstwo dla tych, którzy zaangażowani są w czynności uczenia się i nauczania.

2. Chociaż swój honor mają również złodzieje, nie znaczy to jeszcze, że honor jest czymś złym.

3. Z faktu, że mamy lub powinniśmy mieć jakiś kodeks honorowy, nie wynika, iż mamy zepsutą społeczność lub instytucję.

4. Jeżeli nie oszukujesz, to znaczy nie korzystasz we własnych artykułach z cudzych badań i prac bez powoływania się na nie, nie znaczy to jeszcze, że jesteś człowiekiem honoru – ale z pewnością jest to dobry początek.

5. Najszlachetniejsze, co możesz zrobić jako chrześcijanin, to przekonać drugiego do nieoszukiwania.

6. Jeżeli sądzisz, że możesz oszukiwać, gdy jesteś jeszcze w szkole, ponieważ szkoła jest tylko okresem przygotowania do prawdziwego życia, nigdy nie będziesz do niego przygotowany, gdyż twoje życie nie będzie nigdy bardziej prawdziwe niż teraz.

Przechodzę do omówienia każdego z tych twierdzeń.

1. Oszukiwanie jest poważniejszym przestępstwem niż morderstwo dla tych, którzy zaangażowani są w czynności uczenia się i nauczania. Proszę zauważyć, że nie odniosłem tego twierdzenia „do szkół wyższych, uniwersytetów lub szkół”, które mogą mieć lub nie mieć do czynienia z uczeniem lub nauczaniem. Uczenie się i nauczanie wymaga oczywiście instytucjonalnego wsparcia, jednak instytucjonalne osadzenie tych czynności może je bardziej lub mniej wspierać lub niszczyć. Uczenie się i nauczanie są czynnościami, których wymaga każda porządna społeczność, i chociaż rzeczywiście często mają one miejsce w szkołach i na uniwersytetach, to również występują w fabryce i na roli. Alasdair MacIntyre określił te praktyki jako „spójną i złożoną postać społecznie ustalonej, zespołowej aktywności ludzkiej, poprzez którą dobra istotne dla tej postaci aktywności realizowane są w trakcie prób osiągnięcia standardów doskonałości, które są właściwe dla tej postaci aktywności i częściowo ją charakteryzują; realizowane z takim wynikiem, że ludzkie zdolności, zwrócone ku osiągnięciu perfekcji w rozumieniu wchodzących w grę celów i dóbr, systematycznie się poszerzają”. Chociaż charakterystyka ta nie oddaje być może pełnego znaczenia celu jako części praktyki, to jednak dobrze podpowiada, w jaki sposób człowiek staje się czymś więcej dzięki temu, że uczestniczy w tych praktykach.

Nauczanie jest praktyką i uczenie się jest praktyką, wierzymy bowiem, że mamy coś wartościowego do przekazania z pokolenia na pokolenie. Przekazywanie takie może być czymś równie podstawowym, jak wówczas, gdy murarz uczy terminatora poprawnego trzymania kielni celem rozprowadzania zaprawy lub gdy jeden prowadzi drugiego poprzez lekturę *Menona* Platona ku zrozumieniu, czy cnoty można nauczać. Dla wszystkich tych praktyk czymś istotnym jest nauczenie się tego, jak dochodzi się do wspólnych sądów, jak przekazuje dalej to, czego się sami nauczyliśmy, manifestując w ten sposób swą własną wiedzę. Stąd też inicjacja w wiedzę o przeszłości zakłada gotowość poddania się osądowi, aby przekonać się, czy jest on słuszny, czy nie.

Aby terminator został wtajemniczony w rzemiosło, musi się nauczyć – najpierw od nauczyciela, a następnie ucząc się samemu – jak rozpoznawać błędy, korzystając przy tym ze standardów uznanych za najlepsze w danym rzemiośle. Uczenie się rzemiosła wymaga zręczności; terminatorzy muszą się nauczyć odróżniać w poszczególnych sytuacjach to, co rzeczywiście dobre, od tego, co tylko wydaje się dobre. Mam tutaj na myśli taką rzecz, jak np. wyrabianie garnków. Może się tak zdarzyć, że najważniejszymi kursami na uniwersytecie będą garncarstwo i automechanika.

Czytelnik ma prawo podejrzewać, że nie opowiadam się za kształceniem w duchu *artes liberales* jako czymś istotnym dla chrześcijańskich uniwersytetów. Rzeczywiście, nie lubię rozróżnienia na wiedzę teoretyczną i praktyczną. Każda interesująca wiedza jest praktyczna i czerpie z głębin społecznego zainteresowania. Stąd też analogię z rzemiosłem rozumiem dosłownie. Przyrównanie kształcenia do rzemiosła pozwala poza tym lepiej ocenić rolę nauczyciela.

Jak zauważył profesor MacIntyre w *Three Rival Versions of Moral Inquiry*, ażeby terminator mógł dobrze robić garnki, musi najpierw nauczyć się odróżniać dwa rodzaje doskonałości: taką, której zarówno on, jak i inni mogą oczekiwać od siebie tu i teraz, oraz taką, którą odznacza się zarówno terminator, jak i mistrz, a której ostatecznym celem jest samo rzemiosło. Oczywiście więc jest, że jedynym sposobem nauczania się jakiegoś rzemiosła jest przejście drogi od terminowania do mistrza. Sprawa ta jest kluczowa. Nie możesz się sam nauczyć murowania, ale można cię nauczyć, jak trzymać kielnię, jak rozprowadzać zaprawę lub jak trzymać cegłę. Jedynym jednak sposobem, by nauczyć się, jak murować, jest codzienna praca z mistrzem murarskim, wyuczenie się wszystkich niuansów rzemiosła.

Jeżeli analogia z murarstwem niewiele ci mówi, pomyśl o rzemiośle w kategoriach uczenia się gry na instrumencie muzycznym. Aby nauczyć się gry na instrumencie muzycznym, musisz być wtajemniczony w tę sztukę przez mistrza. Częścią inicjacji jest nauczenie się zaufania do jego osądów. Przekonujesz się wówczas, że osądy te nie są czymś, czego można się nauczyć mechanicznie.

Tak więc terminatorzy przekonują się, że aby osiągnąć cel rzemiosła, muszą się zmienić. Nie próbują oni zmieniać kierunku swych zainteresowań; po prostu uczą się z dnia na dzień tego, że np. dla uformowania garnka istotne jest użycie tej raczej niż innej gliny. Odróżnianie między rodzajami glin jest tu niesłychanie ważne. Dla mnie, laika, glina jest po prostu gliną; ale mistrzowie w garncarstwie uczą się odróżniać typy glin za pomocą pewnego rodzaju wnikliwego sądu, zdobytego w trakcie inicjacji w rzemiosło. Zmienili się, gdyż nauczono ich odróżniać różne rodzaje gliny.

Zauważmy, że autentyczne kształcenie, rozumiane jako stawanie się zręcznym praktykiem, wymaga uznania autorytetu osoby, która zdobyła sobie zaufanie. Tymczasem jedną z najważniejszych przemian, jakie dokonały się dzisiaj na uniwersytetach, jest dewaluacja autorytetu nauczyciela-mistrza. Dzisiaj studenci słuchają raczej różnego rodzaju technokratów, których jedynym uwiarygodnieniem jest tytuł doktora filozofii. Problem, na czym polega bycie nauczycielem-mistrzem, jest tu na ogół pomijany. Jednak stosunek mistrz-uczeń, chociaż ignorowany, zachowuje swą ważność. Wciąż bowiem wskazujemy terminatorom, zwanym przez nas studentami, sposób odkrywania, jak przyswoili sobie rzemiosło, domagając się wykazania, że rozumieją to, czego ich nauczono. Do sposobów, którymi się posługujemy po to, by odkryli oni własne zainteresowania, należą różne testy i podpisywane przez nich prace.

Uniwersytety są zatem instytucjami powołanymi do przekazywania wiedzy, nazywanej mądrością, o sprawach uchodzących za ważne. Ponieważ osądów uczyć się trzeba poprzez terminowanie u mistrzów – zmarłych lub żywych – nie wolno nam korzystać z prac innych – i nie korzystamy z nich – bez właściwego udokumentowania, gdyż sprzeniewierzylibyśmy się temu, co stanowi istotę nauczania. Zanegowalibyśmy znaczenie naszych mistrzów, którzy są niezbędni dla dobrego wykonania naszej pracy, gdybyśmy nie uznali ich roli. Nie dlatego więc wymaga się przepisów, że praca innych stanowi ich własność, jak gdyby istniał kapitalistyczny stosunek pomiędzy autorem i jego dziełem. Wiem, że jeżeli mam pewną „twórczą myśl”, oznacza to, że po prostu zapomniałem, skąd ją wziąłem. Twórcza myśl nie jest czyjąś własnością. Odpowiednie uznanie pracy innych jest wskazaniem na koniecznych uczestników dyskusji, w której i ja biorę udział, dochodząc w ten sposób do tego samego rodzaju subtelnych sądów, jakie i u nich odkrywam. Nie jest tak, bym myślał o swej pracy jako o mojej własności; ważne natomiast jest, bym pokazał, od jakich autorów się nauczyłem i w czym mogę się z nimi nie zgadzać.

Tak więc oszukiwanie jest sposobem życia uniemożliwiającym uczenie się i nauczanie. W przypadku instytucji, których zadaniem jest nauczanie i uczenie się, oszukiwanie jest czymś gorszym od morderstwa, ponieważ oszukiwanie uderza w samą rozumność, w której tkwimy. I tak, chociaż morderstwo jest okropną zbrodnią, oszukiwanie w takich instytucjach to rzecz gor-

sza od morderstwa. Oczywiście nie uważam, by zabicie kogoś na uniwersytecie było w porządku, oszukiwanie jest jednak większym złem, gdyż morderstwo nie podważa samej natury tej instytucji. Ci z nas, którzy są na uniwersytetach, powinni pamiętać, że zostali do tego powołani. Przywilejem jest być na uniwersytecie, przywilejem jest być studentem wciągniętym w ten rodzaj aktywności, o którym mówiłem, być wybranym do tego, by wyłącznie czytać książki, umieć się wypowiadać, uczyć się oceniać wielkie malarstwo. Jeżeli więc jesteś do tego powołany i wybrany, oznacza to, że jesteś postrzegany tak, jak ludzie predysponowani do tego, by stawiać czoła rygorom życia, dysponując stałym osądem, który jest integralną częścią twojej inicjacji.

W świecie, gdzie ludzie umierają z głodu, gdzie każdej minuty z powodu skrajnej niesprawiedliwości zabijany jest człowiek, jak znaleźć usprawiedliwienie dla życia, w którym nie robi się nic innego, jak tylko uczy uważnego czytania książek. Twierdzę, że przywilej taki daje społeczność, przekonana, iż nic nie jest tak ważne, jak dysponowanie ludźmi, którzy podejmują wysiłek pełniejszego widzenia świata przez to, że wystawiają siebie na odmienność tego, co inne, a z czym spotykają się robiąc postępy w porządnym uczeniu się rzemiosła. Tylko silną społeczność stać na to, by przeznaczać określone osoby do takich czynności.

Ludzie mówią do mnie: „o, jesteś nauczycielem!”, odpowiadam: „tak”. Wówczas mówią: „dobrze, a ile godzin uczysz?”, powiadam: „sześć”, a oni na to: „och, to dość dużo jak na jeden dzień”, wówczas wyjaśniam: „nie, na tydzień”, a oni: „pracujesz tylko sześć godzin tygodniowo?” Ja na to: „tak, uczę sześć godzin na tydzień, tzn. tyle jestem na zajęciach”; wtedy powiadają: „człowieku, nie mogę w to uwierzyć”. Zostałem przeznaczony do tego, by w swoim życiu nie robić nic innego, jak tylko próbować zrozumieć tajemnicę Trójcy Świętej i jej konsekwencje dla istoty życia etycznego. Czy możesz sobie wyobrazić społeczność przeznaczającą kogoś do zajmowania się tym? Dlaczego wybiera ona ludzi, by nie robili nic innego, jak tylko próbowali pojąć, że jest coś przełomowego w zrozumieniu, że Bóg jest Trójjedyny i że – w rzeczy samej – twierdzenie to ma ogromne znaczenie dla naszego sposobu życia. Ludzie, których przeznaczono do zajmowania się tego rodzaju działalnością, potrzebują cnoty humoru, pokory oraz odwagi angażowania się w ten proces. Krótko mówiąc, powinni odznaczać się honorem. Na tym kończy się obrona mojego pierwszego spornego twierdzenia.

2. Chociaż swój honor mają również złodzieje, nie znaczy to jednak, że honor jest czymś złym. Oczywiście prawdą jest, że samo bycie honorowym nie wystarcza. Ostatecznie również naziistowska SS została ukonstytuowana na honorze. Ci osobliwi ludzie oddaliby bez wątpienia swe życie za to, co uważali za cenne. Można im było zaufać, co więcej, byli dokładnie tym, czym byli: esesmanami. To ważne, gdyż jed-

ną z istotnych cech ludzi honoru jest to, że nie ma różnicy między tym, co o sobie głoszą i co faktycznie robią. Poza tym honor wymaga powiązania z instytucjami dającymi wartościowe wzorce życia. Jesteśmy przekonani, że uniwersytety są takimi instytucjami w tej mierze, w jakiej zostały wybrane dla wspierania ludzkiej mądrości.

Mówiąc to, chciałbym by było jasne, iż wcale nie jestem przekonany o moralnej „czytelności” współczesnego uniwersytetu. Nie jest bynajmniej oczywiste, jakiej wspólnoty moralnej służy uniwersytet i jakie winno być jego zadanie. Uniwersytety chrześcijańskie powinny sprzeciwiać się założeniom, które – moim zdaniem – podkopują dzisiejszą edukację, jak np. twierdzeniu, że ludzie posiadają określone prawa i (lub), że celem życia jest szczęście. Oba te założenia wydają mi się kulturowymi, opartymi na uczuciu poglądami, niszczącymi typ refleksji wymagany na uniwersytecie. Studentom trzeba powiedzieć, że zadowolenie z własnego życia nie zawsze jest rzeczą dobrą. Gdy czujesz się nieszczęśliwy, nie jest to najgorszy sposób bycia. Trudno jest być młodym; teraz, gdy mam to już poza sobą, stwierdzam, że jest to okropny okres życia. Gdy czujesz się nieszczęśliwy, myślę, że rzeczywiście masz wiele powodów do tego. A poza tym, kto ci powiedział, że powinieneś gonić za szczęściem. Nigdy nie jest łatwo być szczęśliwym i większość czasu nie powinieneś takim być.

Arystoteles powiedział, że eudaimonia (szczęście) jest pełnią cnoty w doskonałym życiu. Uczył, że jeżeli czujesz się szczęśliwy w czasach młodości, było to wielkie złudzenie. Jest to chyba słuszne spostrzeżenie, ponieważ każde szczęście warte dążenia bierze się z zaangażowania w wartościowe działania (np. studiowanie teologii) tak cię pochłaniające, że zapominasz pytać, czy jesteś szczęśliwy. Kształcenie nie polega na zaspokajaniu potrzeb, lecz na wyzwaniu nowych. Uniwersytety, by mogły tak wychowywać, muszą doznać wsparcia ze strony instytucji odrzucających uwarunkowane kulturowo opinie na temat szczęścia.

Panuje dzisiaj szczególny pogląd, że uniwersytet czyni chrześcijańskim to, co dzieje się na zajęciach. Domagasz się więc kilku wykładów z teologii, a jeżeli jesteś na uczelni katolickiej, prawdopodobnie również kilku wykładów z filozofii. Być może jednak sądzisz, że tym, co czyni uniwersytet chrześcijańskim, jest szczególna troska o życie studenta poza salą wykładową. W tym wypadku tym, co czyni chrześcijański uniwersytet chrześcijańskim, jest podzielenie życia studenckiego. Jeżeli się z tym zgadzasz, uważam, że pracujesz na zdeprawowanym uniwersytecie. Jeżeli sądzisz, że chrześcijaństwo polega tu głównie na regulowaniu studenckiego życia i zajmowaniu się trudnymi studentami w sposób nie mający nic wspólnego z tym, co dzieje się w sali wykładowej, wówczas, ściśle biorąc, tracisz czas i brak ci racjonalnych podstaw dla organizacji życia studenckiego.

Przeciwnie, tym, co czyni chrześcijański uniwersytet chrześcijańskim, są personalne decyzje dotyczące osób, które na nim uczą. Kiedy rozpatruje się

sprawę czyjegoś angażu, dziekani winni być zainteresowani tym, kogo zatrudniają. Nie wystarczy, że osoby te są dobre w swej dziedzinie. To, czego, i to, jak uczą, stanowi istotną różnicę.

Przyznaję, że są to sprawy złożone i łatwo tu o nieporozumienie. W grę jednak wchodzi podstawowe zagadnienie epistemologiczne, dotyczące samej istoty uniwersytetu. Jak MacIntyre dowodzi w końcowym rozdziale *Three Rival Versions of Moral Inquiry*, kiedy uniwersytety porzuciły tzw. sprawdzian religijności, w rezultacie nie stały się miejscem regularnych sporów między rywalizującymi tradycjami. Z chwilą, gdy przekonania religijne angażowanego na wydział uniwersytecki przestały być ważne, narzucono inne, lecz równie restryktywne pojęcie kompetencji naukowej, pojęcie kompetencji niezależnej od światopoglądu. Odpowiednia koncepcja obiektywności w sali wykładowej wymagała od profesorów wykładania w taki sposób, jak gdyby istniały jednakowe standardy racjonalności, przyjmowane przez wszystkich. W ten sposób uniwersytety stały się instytucjami zaangażowanymi w podtrzymywanie pozornej obiektywności.

W ostatnich latach dekonstrukcyoniści wystąpili z krytyką obiektywistycznego punktu widzenia. Naturalną odpowiedzią wszystkich, związanych z oświeceniową koncepcją uniwersytetu jest odrzucenie tych krytyków jako „nieobiektywnych”. Oczywiście, nie są oni obiektywni. Dekonstrukcyoniści głoszą to, co my chrześcijanie powinniśmy mówić od dawna: nie ma obiektywnego poznania poza tradycjami, które je podtrzymują. W naszym wypadku instytucją tą jest Kościół. Ostatnio jednak tym, co wyróżniało uniwersytety chrześcijańskie, było twierdzenie, że realizują one ten sam program, jak inne uniwersytety, wymagając dodatkowo wykładów z teologii. Niestety, podejście takie czyni z Boga jedynie „zapchajdziurę”.

Kiedy Henry Sidgwick (1838-1900), pod naporem oświeceniowej racjonalności, reformował angielskie uniwersytety, zauważył, że zależały one od wymuszonej zgody; tzn. zanim ktoś mógł w ogóle włączyć się w dyskusję, musiał odnieść się do tradycji chrześcijańskiej, nawet jeżeli się z nią nie zgadzał. Sidgwick, jak podaje MacIntyre, sprzeciwił się takiej „wymuszonej zgodzie” jako sprzecznej z metodą naukową, a zatem z rozumem. Oczywiście jego poglądy na naukę okazały się fałszywe: dowiedzieliśmy się z biegiem czasu, że nauka jednak zależy od takiej wymuszonej zgody. Nie słyszałem o żadnym fizyku lub astronomie, który interesowałby się na serio astrologią. Nie istnieje jednak żadna czysto naukowa racja dla jej wykluczenia. Tymczasem Sidgwick wyłączył teologię, ponieważ opiera się ona na wymuszonej zgodzie. Według Sidgwicka na uniwersytecie jest miejsce tylko dla tych dziedzin, jak nauki przyrodnicze, które opierają się na niewymuszonej zgodzie. W rezultacie, jak dowodzi MacIntyre, na współczesnym uniwersytecie nigdy nie dochodzi do rzeczywistej różnicy poglądów. Uniwersytet przeobraził się w instytucję, gdzie grzeczność stała się celem samym w sobie.

Przeciwnie, chciałbym, by współczesny uniwersytet był miejscem, gdzie mogłoby występować zjawisko, nazywane przez MacIntyre'a „wymuszoną niezgodnością poglądów”. Aby ten cel osiągnąć, powinniśmy na przykład formować studentów w oparciu o określone tradycje naukowe – a w szczególnym wypadku – w oparciu o różne sposoby rozumienia przez Żydów i chrześcijan Pism żydowskich czy Starego Testamentu. Dopiero wówczas będziemy mieli do czynienia z konfliktem. Studenci nie będą się tylko uczyć o konflikcie, lecz sami się w nim znajdą.

W obecnej sytuacji nie ma autentycznych dyskusji na uniwersytecie. Twierdzę jednak, że uniwersytety utrzymywane przez Kościoły są zainteresowane zapoznawaniem młodzieży zarówno z tradycją, jak i ze ścieraniem się różnych tradycji, znamionem dla czasów współczesnych. Sytuacja ta wymaga od instytucji, by wprowadzały w życie tradycje uważane za wartościowe. Tradycje te winny być traktowane poważnie, dotyczą bowiem spraw, od których zależy nasze życie. Uważam, zgodnie z moim drugim twierdzeniem, że uniwersytety, a zwłaszcza uniwersytety chrześcijańskie, są instytucjami, które obstają przy tym, że honor jest absolutnie koniecznym elementem wspierania tego, do czego przywiązujemy wagę przy wprowadzaniu młodzieży w tradycje, co do których wierzymy, że są uosobieniem samego honoru.

3. Z faktu, że mamy lub powinniśmy mieć jakiś kodeks honorowy na uniwersytecie, nie wynika, iż mamy zepsutą społeczność lub instytucję. Istnieje szeroko rozpowszechniona opinia, że wprowadzenie honoru jest rzeczą dobrą, jednak nie powinien on być narzucany za pomocą określonego kodeksu postępowania. Zgodnie z tą opinią ci, którzy oszukują, oszukują wyłącznie samych siebie; nie szkodzą innym. W tej sytuacji większość uniwersyteckich standardów honoru załamuje się. Przyjęło się, że nawet jeżeli ktoś sam nie oszukuje, to nie donosi na innego, gdy go na tym przyłapie, ponieważ nie chce być tym, który zdradza innych ludzi. Nie chce być policjantem.

Owo zanegowanie ważności reguł honoru i odpowiadającego im przymusu zakłada raczej pozytywną ocenę ludzkiego charakteru, mianowicie zakłada, że większość ludzi, mając ku temu sposobność, będzie czynić dobrze. Jako chrześcijanie powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że mając ku temu okazję, z pewnością zrobimy coś złego i – co więcej – musimy nauczyć się nazywać to grzechem. Potrzebujemy innych ludzi, by pomogli nam być uczciwymi. Potrzebujemy ich, by być dobrymi, i to właśnie sygnalizujemy jeden drugiemu poprzez kodeks honorowy.

Niestety – przyznaję to – grzechy mogą być usprawiedliwieniem strasznych form przymusu, a gwałtowne wystąpienia przeciwko grzechowi prowadzą często do odwrotnych, niż zamierzone, skutków. Nieoszukiwanie na egzaminie może stać się dla nas tak ważne samo w sobie, że zapominamy, iż

zakazy są na pierwszym miejscu wyrazem głębszego zaangażowania w honor.

Reguły honoru są konieczne. Dobre społeczności i instytucje muszą zarówno znaleźć sposoby przypominania sobie tego, co jest ich właściwym celem, jak również inicjować rozumienie tych form życia, które czynią społeczność tym, czym jest. Co prawda reguły mogą stać się po prostu prawem, gdy oddzieli się je od praktyk, w świetle których są one moralnie zrozumiałe. Nie wolno nam jednak nie doceniać wagi takich reguł dla artykulacji tych praktyk, o których sądzimy, że są kluczowe dla życia uniwersytetu. Nakładanie ograniczeń jest jednym ze sposobów, w jaki społeczność wyraża swe wartości.

4. Jeżeli nie oszukujesz, to znaczy nie korzystasz we własnych artykułach z cudzych badań i prac bez powoływania się na nie, nie znaczy to jeszcze, że jesteś człowiekiem honoru – ale z pewnością jest to dobry początek. Od człowieka honoru można oczekiwać, że pozostanie wierny swym przekonaniom, nawet wtedy, gdy się to nie opłaca. Honor zakłada etykę elitarną, co nie powinno nas dziwić, skoro uniwersytety są instytucjami elitarnymi. Studenci powołani zostali do działalności, do której nie wszyscy są powołani. Z tego właśnie powodu są oni zobowiązani do zachowania i przestrzegania określonego standardu, do którego nie wszyscy są zobowiązani. Honor nie sprowadza się tylko do zakazów. Uniwersytet z kolei honoruje tych, którzy są wzorem tego, na czym nam zależy.

Na przykład na Duke University jest profesor, który przez całe swoje dorosłe życie nie robił nic, tylko badał lemury. Lemury są małymi zwierzętami z rzędu naczelnych, żyjącymi na Madagaskarze. Giną one powoli wraz z zanikiem lasów tropikalnych. Tego profesora szanuje cały uniwersytet, ponieważ poświęcił swe życie badaniu i ratowaniu lemurów. Powiesz: kiedy dzieci umierają z głodu w Etiopii, jak można przeznaczać kogoś do badania lemurów? Jakie zasady moralne pozwalają to czynić? Czyni się to, gdyż warto ratować lemury. Oczywiście, dzieci umierające w Etiopii powinny być nakarmione. Jednak obowiązkiem uniwersytetów jest również badanie lemurów. Wybieramy więc ludzi, którzy nie zajmują się niczym innym, jak tylko cierpliwym badaniem sporów chrystologicznych w czwartym wieku. Inni z kolei próbują zrozumieć sytuację społeczną kobiet. Kwestionowanie dotychczasowych sposobów widzenia świata spotyka się z uznaniem na uniwersytecie. Gotowość, by stawić czoła temu, co nieznane – problemowi lemurów, chrystologii, marginalizacji kobiet – wymaga określonych cnót moralnych oraz niezadowalania się łatwymi rozwiązaniami.

Warto zastanowić się nad relacją między cnotami wymaganymi do tego, co robimy na uniwersytecie, a resztą naszego moralnego życia. Czy można być uczonym, nie będąc równocześnie dobrym człowiekiem? Współczesne

uniwersytety próbowały na ogół uchylić się przed tym problemem. Przystaliśmy na to, by nauczanie uniwersyteckie stało się zawodem, a profesorowie uniwersyteccy – zawodowcami, przez co rozumie się, że mogą oni dostarczać dóbr, bez względu na to, jakimi są ludźmi. Jedyną rzeczą, za którą wyrzuca się dzisiaj kogoś z uniwersytetu, są określone uchybienia seksualne. Nikogo jednak nie wyrzuca się za lenistwo. Tymczasem profesorowie uniwersyteccy dopuszczają się po prostu kradzieży, kiedy idą na zajęcia nieprzygotowani. Nie jest to honorowa postawa. Staje się czymś absolutnie koniecznym, by wydziały miały nad sobą kontrolę, by troszczyły się o zachowanie uniwersytetów jako instytucji, gdzie obowiązuje honor, gdzie można drugiemu powiedzieć: „Nie wolno ci nadużywać alkoholu, gdyż czyni cię to niezdolnym do uczenia!”

Co więcej, nie może być rozdziału między tym, co dzieje się w sali wykładowej, a życiem studentów w domach akademickich oraz prywatnym życiem profesorów. Rzeczywistym sprawdzianem uniwersytetu są absolwenci, którzy czterdzieści pięć lat po jego opuszczeniu czytają przynajmniej jedną książkę na miesiąc, którzy już jako szefowie firm, lekarze i prawnicy, odczuwają potrzebę powtórnego sięgnięcia po lekturę *Państwa Platona*. Jeżeli uniwersytet nie wywiera takiego wpływu, nie spełnia dobrze swego zadania. Nie może i nie powinno być rozdziału pomiędzy salą wykładową i akademią. Nieoszukiwanie jest tylko warunkiem minimalnym, ale jest to dobre minimum dla przypomnienia, o co nam chodzi jako wspólnocie nauczającej, gdzie każdy troszczy się o drugiego.

5. Najszlachetniejsze, co możesz zrobić jako chrześcijanin, to przekonać drugiego do nieoszukiwania. Jak wcześniej zauważyłem, większość systemów honorowych dziś opiera się na stwierdzeniu: „Sam nie będę oszukiwał, ale nie porafiłbym nikogo upomnieć, gdybym go złapał na oszukiwaniu. Ostatecznie bowiem szkodzi on w ten sposób samemu sobie”. Postawa taka ucieleśnia rodzaj indywidualizmu, akceptowany przez społeczeństwo kapitalistyczne: „Mogę robić to, na co mam ochotę tak długo, jak długo nikogo nie krzywdzę i trzymam się reguł gry”. Przeciwnie w instytucjach, gdzie obowiązuje honor, jesteś zobligowany, by upomnieć oszukującego. Powinieneś bowiem pamiętać, że nie chronisz tylko samego siebie; przypominasz osobom, które oszukują, że sprzeniewierzają się temu, co winno być przedmiotem ich troski z racji przebywania w tej instytucji. Co prawda w takiej sytuacji pojawia się groźba ekskomuniki, ale jest ona przecież najbardziej życzliwym aktem Kościoła. Jak bowiem ktoś bez ekskomuniki mógłby się dowiedzieć, że prowadzi życie odcinające go od wspólnoty łaski? I właśnie o to samo chodzi na uniwersytecie, kiedy upominamy i informujemy się nawzajem, stwierdzając tym samym, że potrzebujemy pomocy. Przypomina nam to, czym rzeczywiście jest uniwersytet.

Może ktoś powie, że przecież nie żyjemy w świecie honoru. Rzecz jasna, moja krytyka współczesnego uniwersytetu i współczesnego Kościoła skierowana jest pod adresem mocno skompromitowanych społeczności. Jak my lub ktokolwiek inny może trzymać się standardów, skoro – jak się wydaje – nikt w nie nie wierzy. Odpowiadam na to: „jeżeli tak właśnie myślisz, to nie mamy o czym mówić”. Nie wolno nam nie być odważnymi w świecie tchórzy. Jeżeli jednak zdecydujemy się na odwagę w świecie tchórzy, musimy się liczyć z większym zagrożeniem. Jeżeli jesteśmy prawdomówni w świecie ludzi zakłamanych, bądźmy przygotowani na walkę. Tak, jak nie możemy nie być odważnymi w świecie tchórzy, tak samo nie możemy nie być uczciwymi w świecie dyshonoru. W ten sposób dochodzę do ostatniego stwierdzenia.

6. Jeżeli sądzisz, że możesz oszukiwać w trakcie studiowania na uniwersytecie, ponieważ jest to tylko czas przygotowania do prawdziwego życia, nigdy nie będziesz do niego przygotowany. Jeżeli wierzysz, że czynności nauczania i uczenia się są tak ważne, jak usiłowałem cię o tym przekonać, punkt szósty jest oczywisty. Nie mam więc zamiaru go wyjaśniać, gdyż jeżeli potrzebne jest jeszcze w tym miejscu jakieś wyjaśnienie, to nie ma o czym mówić.

Tłum.: *Bożena Matuszczyk*
Andrzej Bronk SVD